

Ewiondo – znaczy błoto

„Aż do czasu czwartej, ostatniej wyprawy Stanleja, w latach 1887- 89, żaden Europejczyk nie potwierdził istnienia Ruwenzori (...). Podczas marszu ku Jezioru Alberta, jeden z młodych poruczników w drużynie Stanleja, Mounteney Jephson dojrzał pokryte śniegiem odległe szczyty, a jego imię pamięta się jako tego, który pierwszy szczegółowo opisał swoje obserwacje (...). W swoim opisie Jephson nazwał je Ruwenzori, co w miejscowym języku Mtsora oznacza: ten, który zsyła deszcz (...).*

Było nas dwóch: Maciek Rakowski i ja. Świat fascynował nas od dziecka i marzenia o jego poznaniu nigdy nas nie opuściły. To bardzo patetyczne, wiem, ale Ruwenzori było jednym z takich marzeń, kolejną podróżą na koniec świata. W listopadzie, w Górach Księżycowych trwa pora deszczowa, mimo to jedziemy tam! Ruszamy śladami księcia Ludwika Sabaudzkiego, słynnego włoskiego alpinisty, którego wyprawa z 1906 roku była kluczowa dla eksploracji tych gór.

Kampala, stolica Ugandy, jest miastem o wielu obliczach, podobnie jak inne metropolie świata, mieści w sobie bogactwo i biedę, rozmach i małość, zieleni i korki uliczne, wszystko, co miłośnicwa cywilizacja niesie ze sobą. Odwiedzamy siedzibę Parku Narodowego Ruwenzori celem zakupu peritów. Tu jednak kierują nas do agencji, którą musimy wynająć, ponieważ sami nie możemy poruszać się po parku. Targujemy się ostro i ostatecznie formalności załatwiamy w Kasese, małym miasteczku u podnóża gór, tuż przy granicy kongijskiej. 7-godzinna podróż autobusem daje trochę w kość, całe szczęście, że towarzyszy nam pewna niegrzeczna dziewczynka, której szelmostwa w doskonałej powieści opisał Mario Vargas Llosa. Na miejscu z przyjemnością wprowadzamy się do Withe House, małego hoteliku w centrum. Staramy się być dosyć przezorni, bo są to tereny zagrożone malarią ale też, jak informuje polskie MSW, wirusem Ebola. Myjemy często ręce, śpimy pod moskitierami, połykamy tabletki. Kolejnego dnia spotykamy się z naszym przewodnikiem, Erickiem, oraz z kucharzem i tragarzami. Wszyscy są niezbędni, abyśmy mogli bezpiecznie zdobywać Margheritę, najwyższy szczyt Ugandy. Jak okazuje się później owych ośmiu pomocników robi świetną robotę i ich obecność jest faktycznie ogromną pomocą. Po zważeniu sprzętu i jedzenia, podzieleniu ładunków, ruszamy w trasę. Tuż za wioską mijamy posterunek strażników parkowych, z lektury książki rejestracyjnej wynika, że jesteśmy czwartym i piątym alpinistą wchodzącym do parku w tym miesiącu. Jak okaże się przy wyjściu, do 20 listopada liczba ta wzrośnie zaledwie do siedmiu osób. Początkowo droga wiedzie przez deszczowy las równikowy, prawdziwą dżunglą, pełną gigantycznych paproci, kameleonów, lian i wszelkiego innego botanicznego dobra o milionach odcieni zieleni. Idziemy w upale Doliną Bujuku, ostro pod górę, mijamy trzy duże potoki, wreszcie docieramy do pierwszego schroniska, Nayabitaba, położonego na wysokości 2652 m. Drewniane domki stoją na szczycie porośniętej lasem grani, są toalety, jest woda. Tu też urywa się łączność ze światem. Wieczór kończymy obfity kolacją przygotowaną przez Corneliasa. Kolejny dzień marszu rozpoczynamy od ostrego zejścia na dno doliny, aby przekroczyć rzekę. Dzień upływa na mozolnym zdobywaniu wysokości i nauce poruszania się po bagnach. Każdy stosuje nieco inne metody walki z błotem, które jest wszędzie, rządzi wszystkim i powoduje, że zastanawiamy się dlaczego te góry nazywają się księżycowe a nie błotne? Ja często skaczę z kępy trawy na kępę, co jest męczące. Maciek raczej brodzi w błocie po badyłkach i kłodach, w poszukiwaniu optymalnego wariantu. Bardzo szybko ustalamy, że na błoto w miejscowym języku mówi się "ewiondo". Od tej pory każdego dnia, ku uciesze słyskich towarzyszy, wymawiamy tę nazwę po tysiąc razy. Poruszamy się wolno, na ostatnim odcinku dochodzą śliskie poziome drabinki, gdyby nie kije trekkingowe, to zaliczylibyśmy wiele upadków. Wreszcie docieramy do schroniska John Matte na 3414 m. W oddali między chmurami dostrzegamy lśniący lodowiec Savoia.

„Z nastaniem nowego dnia poczuli się na tyle dobrze, że postanowili wspinać się dalej. Weszli na dwa dalsze dziewicze wierzchołki, nazywając pierwszy z nich Punta Elena (4955 m) na cześć włoskiej królowej i małżonki króla Wiktora Emanuela III, a drugi Punta Savoia (4980 m) dla uczczenia królewskiego rodu Casa di Savoia- dynastii sabaudzkiej. Przez następne kilka tygodni wspinali się nieprzerwanie przy zdumiewająco dobrej pogodzie. W sumie zdobyli wtedy czternaście szczytów, wszystkie powyżej 4500 metrów (...). Najważniejsze jednak było ustalenie przez włoską wyprawę, że wszystkie wody wypływające z masywu Rewunzori tworzą system hydrograficzny niezależny od Jeziora Wiktorii. Rzeki z sześciu oddzielnych pasm Rewunzori- Mount Emin, Mount Gessi, Mount Speke, Mount Stanley, Mount Baker i Mount Luigi di Savoia- w całości należą do zlewni Jeziora Alberta (...).”

Trzeciego dnia las się z wolna przerzedza ale lobelie, płataniny korzeni i wszechobecne ewiondo nadal królują. Przechodzimy dolne i górne błota, częściowo po kładkach, których stan techniczny czasem pozostawia wiele do życzenia. Mijamy Jezioro Bujuku i dochodzimy do schroniska o tej samej nazwie, położonego na 4000 m. Ponownie mamy szczęście, udaje się nam uniknąć deszczu, który spada zaraz po przekroczeniu progu schroniska. Dzień czwarty zaczynamy ostrym podejściem na siodło w grani, na 4200 m. Po cichu liczymy, że będzie trochę łatwiej, ale błoto ponownie nas zaskakuje. Wołamy do przewodnika: Eric, jak się mówi w Twoim języku "pionowe ewiondo"? I brniemy dalej w czarnej mazi, w kierunku przełęczy dzielącej Doliny Bujuku i Kitandara (ok. 4350 m). Tu bezkresne błota wreszcie się kończą. Wchodzimy w teren skalny i po wielkich płytach dochodzimy do schroniska Elena (4430 m), u podnóża Lodowca Savoia. Nad nim górują Punta Savoia (4977 m),

Great Tooth (4950 m) i Punta Elena (4970 m). Schron położony jest na wysokości 4500 m, rozpościera się z niego piękny widok na południowo-zachodnią flankę Mount Baker, majestatycznego dwuwierchołkowego masywu, o wysokości 4842 m. Po południu przechodzi dwugodzinna śnieżna burza przypominając nam, że jesteśmy w górach a nie niedzielnym spacerku. Po obiedzie idziemy spać, bo atak szczytowy planujemy na 6.00 rano. Wreszcie nadchodzi upragniony piąty dzień. Wolno ruszamy w kierunku wielkiego, stromego zacięcia, nim ostro w górę, zdobywamy 150 m wysokości. Wyżej teren się kładzie i z wolna doprowadza nas do czoła lodowca. Eric tłumaczy nam, że to jest Plateau Stanley'a**. Uwieramy raki, uprząże, wiążemy się liną i ruszamy w kierunku północnym. Lodowiec okazuje się dosyć groźny, Eric trzykrotnie wpada do szczeliny, ja wpadam raz, ale już na lodowcu Margherita. Oba lodowce są oddzielone małą ostrogą skalną, którą przy pomocy lin poręczowych i drabinki szczęśliwie pokonujemy. Śnieg jest mokry i głęboki, często do kolan, dlatego mozolnie bniemy zmieniając się na prowadzeniu. Wreszcie osiągamy przełęcz między Punta Margherita i Punta Alexandra. Stąd jeszcze tylko kilka metrów po śniegu, kolejna drabina, i dalej po skale, na grań szczytową, nią do wierzchołka tylko jeszcze pięć minut. Po czterech godzinach walki wreszcie jest!

„Pod szczytem zatrzymał ich wywieszający się daleko nawis. Tu odwołali się do wypróbowanej metody: Petigax stanął na ramionach Olliera- nieco niemila taktyka, jeśli zważyć, że podkute stalowymi gwoździemi podeszwy były wówczas de rigueur w górskich butach. Petigax wybił czekaniem w nawisie otwór, przez który, podciągając się na czekanie, wyciągnął się ponad nawis na szczyt. W kilka minut dołączyli do niego pozostali członkowie zespołu. Stali na najwyższym wzniesieniu z dziewięciu należących do masywu Mount Stanley, na wysokości 5110 metrów. W ostrym słońcu ponad morzem chmur zatrzępotała trójkolorowa flaga Włoch z wypisanym na niej mottem: Ardisci e Spera (odwaga i nadzieja). Księżę otrzymał ją od królowej matki, Małgorzaty Sabaudzkiej. Teraz, z dumą wbił drzewce w śnieg w najwyższym punkcie wierzchołka i w podniosłym nastroju dopełnił obowiązku zdobywcy, nadając szczytom nazwy. Dla uhonorowania osoby jego ukochanej patronki i mentora nazwał najwyższy, północny wierzchołek Punta Margherita. Jako wyraz uznania dla brytyjskich wspinaczy, którzy przed nim próbowali sił na ścianach tego masywu, nazwał południowy szczyt (5105 m) Punta Alexandra na cześć królowej i małżonki króla Edwarda VII”.

Eric, Maciek i ja, gratulujemy sobie, robimy zdjęcia i zaczynamy zejście, bo dziś jeszcze musimy dotrzeć do schronu Kitandara na 4000 m. Trzeba przyznać, że jest to najpiękniej położony schron na całej trasie wyprawy. Dwa jeziora z krystalicznie czystą wodą, otoczone wysokimi skalnymi ścianami, wszędzie pełno zieleni, kwitnące drzewa, kolorowe mchy i słońce, które, mimo deszczowej pory, nas nie opuszcza. My docieramy tam przez przełęcz Scott Elliot (4372 m), po ponad dziesięciu godzinach marszu, zmęczeni ale też zadowoleni z pięknej toury. Kolejny dzień przynosi nam podejście na przełęcz Freshfield (4280 m), piękny widok na dolinę Kachope i ośnieżony masyw Weissman (4619 m). Docieramy na kolejną przełęczkę, położoną na wysokości 4330 m. To najwyższy punkt jaki osiągamy tego dnia. Nagle pogoda zupełnie się zmienia, lekki deszcz zastępuje obfity śnieg, przypominamy sobie, że to przecież pora mokra. Dalsza część drogi to już strome zejścia wzdłuż strumieni i wodospadów. Wreszcie ponownie zaczyna się błoto i skoki po kępach traw. Po sześciu godzinach wyłożonego marszu docieramy do Guy Yeoman Hut (3261 m). Korzystając z chwili słońca suszymy na tarasie schroniska przemoczone rzeczy, czyścimy kalosze i rozmyślamy o Księciu Abruzzi, który nie miał przetartych szlaków, nie miał przewodników ale stale parł naprzód, ku szczytom i swoim marzeniom.

„Wbrew zwyczajowi przyjętemu przez ówczesnych i wcześniejszych odkrywców, księżę sporządzając mapy, nie zastępował istniejących lokalnych nazw jezior, lodowców i szczytów nazwami europejskimi. Wyjątek stanowiły bezimienne wierzchołki, które zespół księcia zdobył jako pierwszy lub które po raz pierwszy umieszczał na mapie. Przeważnie nazywał księżę szczyty od imion członków swojej rodziny, a żadnej formacji nie nadał swego własnego imienia. Dopiero później i niejako pod presją, wyraził zgodę na proponowaną przez brytyjskie Towarzystwo Geograficzne zmianę nazwy rozległego pasma w południowej części masywu Mount Thompson na Mount Luigi di Savoia. W centrum tego pasma leży też szczyt nazwany przez księcia imieniem fotografa jego wyprawy- Sella (4626 m), zdobyty przez zespół: Sella, Botta i Brocherel”.

Ostatniego dnia trekku tracimy ostro wysokość schodząc przez bagna, potoki, wodospady, mostki. Zataczamy koło i wreszcie docieramy do schronu Nayabitaba, w którym spędzaliśmy pierwszą noc. Stąd już tylko dwie godziny marszu do bram parku. Kończymy przygodę z górami Ruwenzori, żegnamy się z naszą ekipą, zdajemy wypożyczony sprzęt i ruszamy do hotelu, by wziąć pierwszy od tygodnia prysznic. Kolejny dzień przynosi nam safari w Parku Narodowym nad Jeziorem Edwarda. Maciek jest urzeczony afrykańską przyrodą, lwy, bawoły, hipopotamy, słonie i tysiące ptaków. Ale nasz czas w Ugandzie dobiega końca, próbujemy jeszcze smażonej szarańczy z bananami i mango, a ja tradycyjnie golę brodę u miejscowego fryzjera, naprawiam zepsute okulary i oddaję rzeczy do prania. Te wszystkie czynności są możliwe do wykonania w tym miasteczku i to samo w sobie jest wielką wartością. Spacerujemy ulicami Kasese, podglądamy życie miejscowych ludzi, można tu żyć normalnie, tylko inaczej niż my do tego przywykliśmy. Jasne, że czasem ktoś krzyknie za nami „mzungu”, czyli „białasię”, ale czujemy się zupełnie bezpiecznie. Przez Kampalę udajemy się do Nairobi, skąd mamy zamiar odlecieć do kraju. Granicę ugandyjsko-kenijską przekraczamy na... rowerach, ponieważ autobus pojechał sobie bez nas. Rowerowy pościg jest jednak skuteczny i dopadamy go po kenijskiej stronie. Dopadamy też kierowcę... W Kenii pierwszym pytaniem, jakie zadajemy miejscowym, chyba trochę z przyzwyczajenia, jest: Panowie, jak się mówi "błoto" po kenijsku? Wazimu, pada odpowiedź nieco zaskoczonych Kenijczyków. Uzbrojeni w tę wiedzę pewnie ruszamy przed siebie.

„Uganda jest perłą Afryki”, uśmiechaliśmy się tuż po przylocie, widząc słowa Winstona Churchila, wymalowane na budynku lotniska w Entebbe. Jednak przez 10 dni spędzonych w tym kraju przekonaliśmy się, że premier Wielkiej Brytanii miał rację. W Ugandzie zostawiamy naszych przyjaciół i jakąś część siebie samych, zostawiamy też szelmostwa niegrzecznej dziewczynki, które podczas podróży stały się nam tak bliskie. A nasz Księżę?

„W następnych miesiącach otrzymał książę liczne dowody uznania od umiejących docenić jego dokonania badaczy i odkrywców. Charakterystyczna jest na przykład wypowiedź Edwarda Whympera, który napisał, że Góra Św. Eliasza jak i szczyty Rewunzori, nie wymagające technicznej wspinaczki, mogły zostać zdobyte przez wspinaczy o niższych kwalifikacjach niż zespół księcia. To, co jednak budzi bezsprzeczny podziw to idealnie prowadzone kierownictwo (wyprawą), dobranie właściwych środków do osiągnięcia celów, oraz kompletność, z jaką owe cele zrealizowano. Niektórzy czytelnicy, pisał Whymper, mogliby po relacji z wyprawy w Rewunzori pióra księcia Abruzji oczekiwać atrakcyjniejszej lektury; zyskałaby ona powszechniejsze uznanie, gdyby zawierała opisy dramatycznych wypadków i straszliwych wydarzeń- accidens i horrors - jak to było w wypadku wcześniejszych wypraw. Ale tutaj właśnie, zdaniem Whympera, leży wielka wartość tej wyprawy- jeśli bowiem nie wydarzyło się żadne nieszczęście, to znaczy, że przedsięwzięto wszelkie kroki, nie szczędząc czasu i wysiłku, by mu zapobiec”.

* W tekście wykorzystano fragmenty książki Mirelli Tenderini i Michael Shmandrick'a; *Pasja i powinność Ludwik Sabaudzki księżę Abruzji*, przekład i opracowanie Danuta Hołata-Loetz, Wydawnictwo STAPIS, Katowice 2003. Wybór cytatów Piotr Grządziel.

** Henry Morton Stanley, dziennikarz, który zasłynął z odnalezienia w 1871 roku w afrykańskim buszu Davida Livingstone'a. Słowa z nekrologu Stanley'a były bezpośrednią zachętą dla Księcia Abruzzi do organizacji wyprawy.

Bogusław Magrel